

Ewa Nowak

WARSZAWA CENTRALNA

Eli i Wojtusiovi Steckim

Ela zamknęła okno. W jej przedziale była tylko matka z dwójką dzieciaków, które wreszcie szczęśliwie usnęły. A matka, zamiast zrobić to, co sądziła Ela, że robią matki śpiących dzieciaków, czyli zacząć zacierać ślady po swoich małych, natychmiast wygrzebała z torby dietetyczną colę i kryminał, i gryząc palce oraz popijając colę czytała go zapomniawszy o całym świecie.

Ela spojrzała na zegarek, a potem uniosła się i zajrzała do lusterka. Wyglądała dobrze. Bardzo dobrze. Maseczka z glinki zielonej poprawiła kondycję skóry. Wyspała się z ogórkiem na oczach, nogi wydepilowała trzy dni wcześniej, żeby nie było maleńkich szpecących krostek. Naprawdę nie było się do czego przyczepić, a jednak Ela nie była spokojna.

„Może on zaprosił mnie tylko przez grzeczność...? Może tak tylko powiedział, a kiedy to podchwyciłam, głupio mu było się wycofać...”.

Przypomniała sobie Wojtka. Przypadkowo wpadli na siebie we Władysławowie. Ona z matką, on na waleta u kuzynów. Siedzieli przy jednym stoliku. A potem... Potem były spacer, fale, bursztyny, których nigdy nie mogli znaleźć, wesołe miasteczko, rozmowy, jak śmiesz ich ludzie, którzy nie są w stanie żyć bez komórek. Raz się pocałowali, ale kto wie, co dla takiego chłopaka z Warszawy może znaczyć pocałunek. Może nic nie znaczyć.

A teraz jedzie. Przynajmniej nie ma tego idiotycznego czekania — napisze-nie napisze, zadzwoni-nie zadzwoni. Umówili się na dworcu Warszawa Centralna. W Warszawie była jeden jedyny raz. Jakaś wycieczka jeszcze w podstawówce, z której prawie nic nie pamięta.

Jeszcze raz zajrzała do lusterka — trochę zbyt czerwone policzki. Oparła głowę o szybę.
„Muszę się uspokoić. Muszę”.

*

Wojtek po raz setny zerknął na godziny przyjazdów. 12:35, czyli za pół godziny. „Może jeszcze zdążę kupić kwiaty. Może róże...”.

Róż jednak nie było. Musiał zadowolić się bukietem wczesnojesiennej zbieraniny. Nerwowo przekładał je z ręki do ręki i żałował, że je kupił.

„Jak się będę witał? Najpierw podać czy najpierw się przywitać?”.

Usiadł na ławce w poczekalni. Kwiaty położył obok. Wyjął z kieszeni portfel i dyskretnie zaczął przeglądać jego zawartość.

„Tu jest wszystko, do czego doszedłem w życiu”.

Wyciągał kolejno: zawiadomienie o dostaniu się na studia, prawo jazdy i adres Eli.

„Dała mi swój adres. A może zrobiła to tylko przez grzeczność? Kto wie, czy taka fajna dziewczyna nie dała mi tego adresu jak koledze. — Wojtek aż wzdrygnął się na słowo »kolega«. — Niech już ten pociąg przyjedzie, bo oszaleję”.

Zszedł na peron. Miał jeszcze dziesięć minut. Popatrzył po innych oczekujących. Różni ludzie. Pary, starsze osoby, jakaś grupa młodych ludzi, chyba w jego wieku, dwóch kieszonkowców z charakterystycznymi pustymi reklamówkami, jakiś nieduży facecik z dwoma balonami w kształcie dalmatyńczyków... Wszyscy na kogoś czekali. Spory tłum.

*

— Dojeżdżamy do stacji Warszawa Centralna. Dziękujemy za wspólną podróż. Proszę sprawdzić, czy nie zostały bagaże.

Ela poczuła, jak się denerwuje. Przecież pozna od razu, czy on się cieszy tak... tak jak powinien, czy tylko tak jak z przyjazdu znajomej. Koleżanki. Nie ma się co oszukiwać, to będzie widać od razu.

Matka usiłowała ogarnąć dzieci, bagaże, rozrzucone zabawki. Ela włączyła się do pomocy. Zawsze to lepsze niż bierne czekanie.

Pomogła wyjść matce i podała rękę każdemu z bliźniąt. Pożegnali się. Ruszyła w kierunku ruchomych schodów. Po chwili niesiona przez tłum ludzi znalazła się w wielkiej hali z kilkunastoma kasami. Szybko przebiegła wzrokiem, gdzie stoi Wojtek. Nie mogła go od razu zauważyć.

Poczekala pół godziny.

Nie przyszedł.

Trudno. Nie wyglądał na kogoś takiego... A jednak. Jak to zawsze można się pomylić.

Poszła sprawdzić, o której ma powrotny do Bydgoszczy.

Za dwie godziny.

„Nie, nie będę wracać. Mama, Milena...”. Musiałyby im wszystko powiedzieć. Przecież jest tu ciotka. Na pewno ją przyjmie.

„Tylko co ja jej powiem?”.

*

Wojtek nerwowo chodził wzdłuż pociągu, mijając witające się osoby. Nawet mały facecik całował się chyba z żoną, a jakieś dwa dzieciaki z wrzaskiem biegały po peronie, uderzając się plastikowymi dalmatyńczykami na patykach.

Po kilku minutach peron opustoszał. Zostało kilka osób. Pociąg odjechał.

Wojtek przeszedł peron jeszcze raz.

Eli nie było. Nie przyjechała.

„Byłem głupi. Myślałem, że dziewczyna po prostu przyjedzie, że połączymy po Warszawie, że będziemy... Idiota ze mnie”.

Wrzucił pogniecione kwiaty do kosza. Nie chciało mu się wracać do domu. Będzie musiał jakoś to wytłumaczyć. Mama wiedziała, że wychodzi po Elę. Zadzwoił tylko i powiedział mamie, że Eli nie ma, więc on jedzie do Kaśki, swojej siostry, do Węgrowska.

Nie wiedział, co się dzieje. Był półprzytomny.

„I co teraz? Czy mogę zadzwonić, zawracać jej głowę? Nie. To chyba jednoznaczne. Powiedziała na odczepnego, że przyjedzie, a potem nawet nie zadzwoniła. Naiwniak ze mnie! Nie, to za słabsze określenie. Ty durniu jeden, ty...!”.

Całą drogę do Węgrowska w duchu wyzywał siebie od najgorszych.

*

Wieczorem Ela zadzwoniła do Wojtka do domu.

„A co tam! — myślała. — Niech mu chociaż powiedzą, że przejechałam. Nie muszę mówić, że specjalnie do niego”.

— Wojtek pojechał do siostry do Węgrowska. Nie powiedział, kiedy wraca...

Miła pani, pewnie mama, nie pozostawiła Eli złudzeń. Na wszelki wypadek zniknął z Warszawy. Po prostu coś, co się nie zaczęło, przynajmniej też się nie skończy.

Łzy zakręciły się jej w oczach.

„Na kogo ja wyglądam, żeby tak ze mną postąpić, żeby tak mnie wystawić? Jestem aż tak beznadziejna? Chyba tak”.

*

Wieczorem Wojtek ze szwagrem siedzieli w altance. Kaśka właśnie ochrzaniła jednego i drugiego za coś tam, ale szwagier nie protestował. Znał żonę i wiedział, że trzeba to przeczekać. Jej po piętnastu minutach przejdzie, więc nie ma co zadrażniać.

Wojtek podziwiał jego spokój.

— Wiesz, co wczoraj wymyśliła twoja siostrzyczka? Umówiła się z tą Adą, co teraz u nas jest, na stacji. Wyjechała po nią, bo tamta też dzieciata i trzeba było przewieźć z majdanem. Kaśka stoi w samochodzie pod dworcem, tamta na peronie. Nie uwierzysz, godzinę tak stały! Kaśka wraca nabuzowana. Mówię, że dzwoniła z dworca jej psiapisółka, że na peronie stoi i się wścieka. To Kaśka w krzyk, że nie tak się umawiały. No, mówię ci, dwie dorosłe baby, a nie mogą się spotkać na jednym zas... — Janusz zasłonił sobie usta dłonią, żeby nie zgorszyć dwuletniego Mateusza — nie mogą się spotkać.

Szwagier najwyraźniej dobrze się bawił.

— Przestań mnie obmawiać. — Podeszła do nich Kaśka. — Wszystko dobre, co się dobrze kończy, nie, brat?

— Tak — mruknął Wojtek bez przekonania.

— Co cię gryzie? — przysiadła się do niego siostra.

Wojtek chwilę się zbierał, a potem jej opowiedział.

— To teraz wóz albo przewóz — zawyrokowała siostra. — Możesz sobie odpuścić albo... Wybieraj!

— To ja wybieram „albo”. Nic mi nie mów, sam to odkręcę.

— Moja krew. — Kaśka potargała go po czuprynie. — Jak coś z tego będzie, to ja chcę być świadkową.

— Masz to u mnie. — Wojtek zaczął zbierać rzeczy.

— Janusz, jutro zostajesz z dziećmi. My z Adą jedziemy do miasta, bo muszę sobie kupić nową garsonkę.

— A po kiego?

— Wojtek się żeni, będę świadkową — wesoło odparła Kaśka.

— To prawda? — Szwagier jowialnie rozłożył ramiona.

— Może... — Wojtek się zaczerwienił. — Jeszcze nic nie wiadomo.

— Jak to nie wiadomo? — Kaśka przyjęła groźną pozę. — Myślałam, że jesteś poważnym facetem. Przecież wybrałeś „albo”. To jak?

— No dobra — Wojtek nagle się rozpogodził. — Kup tę garsonierkę czy coś. Trzymajcie się. — Zarzucił sobie plecak na ramię.

— Ty. — Dogonił go szwagier i wcisnął mu w dłoń kluczyki. — Weź nasz samochód. Bez bryki nie ma co o żeniactwie myśleć. — Mocno klepnął go w ramię, a potem mrugnął do niego po męsku. — Szerokiej! — krzyknął jeszcze za Wojtkiem.

— Dzięki! — odkrzyknął Wojtek.

W końcu co się takiego stało? Nie żyją przecież na pustyni. Znajdą się... o ile będą chcieli „No właśnie... — Znalazł sobie nowy powód do zmartwień. — Czy ona w ogóle będzie chciała... takiego debila jak ja...”.

*

Chciała.

Kaśka nie była świadkową, bo była w drugiej ciąży i nie zmieściła się w garsonkę sprzed dwóch lat.